



Vaira

Monika Knapczyk



Waira

Monika Knapczyk



Copyright © Monika Knapczyk, 2018

Tytuły rozdziałów pochodzą z albumu *Cantata mundi* projektu Adiemus, w tłumaczeniu autorki.

Okładka © Patrycja Smaga

Zdjęcie na okładce © Engin_Akyurt / Pixabay.com

Redakcja i skład: Monika Knapczyk

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

ISBN 978-83-949246-5-2

Wydanie I

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Wydawnictwo Inspiracje



Puławy 2018

www.mojeinspiracje2017.blogspot.com

moje.inspiracje.2017@gmail.com

*Kochać to nie znaczy patrzeć na siebie nawzajem,
ale patrzeć razem w tym samym kierunku.*

Antoine de Saint-Exupéry

ROZDZIAŁ 1

PIEŚŃ ŁEZ

Stary człowiek zatacza ramieniem zamaszysty krąg, mówiąc przy tym:

– To wszystko, cała ta ziemia aż po wierzchołki gór, należy do ludu Dahla. Mogę panu sprzedać, ile pan zapragnie.

Patrzę na jego pobrużdżoną zmarszczkami twarz i splecione w warkocz włosy, niegdyś czarne, a teraz całkiem siwe. Ten mężczyzna jest wiekowy jak jego kraj. Należy do tego miejsca duszą i ciałem. Skaliste granie są bruzdami na jego policzkach, a oddech jest porywistym, mroźnym wiatrem, hulającym w zasnieżonych żlebach.

– Chcę tylko tyle ziemi, żebym mógł się tutaj osiedlić – odpowiadam.

– W takim razie na pewno spodoba się panu dom w lesie. Jest w doskonałym stanie. Poprzedni właściciele wyprowadzili się zaledwie kilka tygodni temu.

– Proszę mi pokazać ten dom – mówię.

Idę za Indianinem w głąb lasu. Przeprowadzamy się przez potok. Stary skacze po kamieniach jak kozica. Podziwiam gibkość jego ciała i zręczność ruchów, odziedziczone po przodkach, żyjących tutaj od wieków. Mógłbym być jego wnukiem, pomimo to już jestem zmęczony. Siedzący tryb życia i brak sportu zaczęły właśnie dawać mi się we znaki.

Tamten nagle odwraca się i pyta:

– Jak panu na imię?

– Arkadiusz.

– Arkadiusz – powtarza natychmiast w tutejszym dialekcie. – Polubi pan Nerelię. Każdy zakochuje się w tej krainie, gdy trochę tutaj pomieszka.

Zbywam tę uwagę milczeniem. Przecież już postanowiłem, że zostanę w Nerelii na dłużej. Może dlatego mam dziwne przeczucie, że kupię ten dom.

Stajemy na skraju polany. Indianin jest niewzruszony jak skała, za to ja

próbuję złapać oddech po wspinaczkę po delikatnej pochyłości zbocza. Myślę przez chwilę, jak czułbym się, gdyby stary kazał mi zdobywać jeden z tych niebo-siężnych, nagich szczytów. Jestem typowym mieszczuchem i wolę stanie w korku od fizycznego wysiłku.

Dom jest drewniany, z kamienną podmurówką. Ma parter i piętro. Okna są stare, ale może uda mi się je wymienić. Nie widzę żadnych gospodarskich zabudowań, wyjąwszy drewnianą szopę oraz garaż z białej cegły. Obchodzę wokół dom, stary idzie za mną. Odkrywam jeszcze porośniętą winnym pnączem altanę. To chyba wszystko, na co mogę tutaj liczyć.

– Możemy wejść do środka? – pytam.

– Jasne – odpowiada flegmatycznie.

Schody głośno skrzypią, więc stawiam ostrożnie kroki. Balustrada wokół ganku jest już mocno spróchniała. Będę musiał wkrótce ją naprawić. Siadam na chwilę na rozklekotanej sofie z pluszową tapicerką, wytartą od częstego dotykania, i wystawiam twarz na ostre promienie słońca. W kącie ganku ktoś zostawił ogrodowy parasol. Przyglądam się brudnym zaciekom na białym materiale.

Stary otwiera kluczem drzwi, więc wchodzę do środka. Wszystkie sprzęty są na swoim miejscu. Mogę się przeprowadzać choćby dziś. Oczywiście dom wymaga gruntownego sprzątnięcia. Każdą powierzchnię pokrywa cienka warstewka kurzu, a w zakamarkach zdążyły się zagnieździć pająki. Mam nadzieję, że nie ma tu pluskiew. Lecz generalnie nie zgłaszam zastrzeżeń.

Na dole jest kuchnia, pokój dla gości i łazienka. Oglądam szafki kuchenne z jasnego drewna. Te wiszące mają w drzwiach szybki z rżniętego w jodełkę kryształu. Na chwilę przenoszę się w myślach na wieś, do domu dziadków od strony mamy. Jednak tutejsza kuchnia podoba mi się bardziej, bo nie jest ciemna i zagracona, ale duża, jasna i przestronna.

Na górze są trzy sypialnie oraz pomieszczenie gospodarcze, służące jednocześnie za pralnię, suszarnię i prasownię. W najdalszym kącie stoi pordzewiała w paru miejscach pralka wirnikowa, pamiętająca chyba jeszcze dzieciństwo moich rodziców. Na szczęście tuż obok jest doprowadzenie zimnej i gorącej

wody. Nie będę musiał grzać jej w kuchni i wnosić garnkiem po stromych, drewnianych schodach, ryzykując poparzenia.

– Skąd bierze się tutaj ciepła woda? – pytam starego. – Jak ten dom jest ogrzewany?

– Będzie pan musiał palić węglem. W piwnicy jest kotłownia. Węgiel może pan kupić w mieście. Dowóz i rozładunek jest za darmo. Zresztą, nie powinien się pan tym martwić. Tutaj praktycznie nie ma zimy.

No tak. W Nerelii, kraju, który nie istniał na żadnej mapie świata, zima nie była mile widzianym gościem. Wycofała się ona w wysokie partie gór i nigdy nie nękała okolicznych mieszkańców. W tym wydartym spod władania natury miejscu wola ludzi, a zwłaszcza Indian Dahla, stawała się prawem.

– A co z jesienią? – pytam przekornie. – Bo wie pan, to moja ulubiona pora roku.

Tamten uśmiecha się szeroko. W tym uśmiechu jest coś drapieżnego i bardzo niebezpiecznego.

– Kiedy przychodzi jesień, liście na drzewach mieniają się w słońcu wszystkimi odcieniami czerwieni i złota. Zakręci się panu w głowie od bogactwa naszych lasów.

Wstrzymuję na chwilę oddech. Skąd stary wiedział, że w jesieni najbardziej lubię właśnie kolorowe, szeleszczące pod stopami liście? Każdego roku układałem z nich dla Luizy bukiety, które moja dziewczyna wyrzucała zaraz następnego dnia. Czyżby Dahla czytali w myślach? To przypuszczenie wydaje mi się tak fantastyczne, że postanawiam nie zaprzętać sobie nim dłużej głowy.

Schodzimy na dół. Indianin puszcza mnie przodem i zamyka drzwi na klucz. Jeszcze nie kupiłem domu, więc na razie jestem tutaj tylko gościem. Pytam starego:

– Do kogo należy ta posiadłość?

– Do nas – odpowiada enigmatycznie. – Wszystko w tym miejscu należy do plemienia Dahla.

– Ale do kogo konkretnie? – dopytuję. – Czy ma jakiegoś właściciela? Gdzie

on mieszka?

Nie na darmo byłem obiecującym prawnikiem. Muszę się upewnić, że stary nie próbuje mnie naciągnąć albo zrobić w jakiś podejrzany interes.

Tamten znów tylko się uśmiecha. Robi to tylko kącikami ust, a jego ciemne oczy stają się wąskimi szparkami. Zastanawiam się, co próbuje przez to wyrazić. Najwyraźniej wie coś, o czym ja nie mam bladego pojęcia. Zaczynam jeszcze raz, z nieco innej beczki:

– Komu powinienem zapłacić? Panu?

– A więc chce pan kupić ten dom?

Wciągam gwałtownie powietrze.

– Tak – mówię. – Postanowiłem, że go kupię.

Klamka zapadła. Gdybym się za chwilę wycofał, straciłbym w jego oczach wiarygodność. Sam nie rozumiem, dlaczego tak bardzo zależy mi na uznaniu tego mężczyzny. Przecież poznałem go zaledwie kilka godzin temu.

– W takim razie zejdźmy do miasta – odpowiada po chwili milczenia. – Zaprowadzę pana do naszego notariusza. Tam spiszemy akt własności i będzie pan mógł przekazać na jego ręce pieniądze.

– Dobrze – kiwam głową. – Pojedźmy do miasta.

Znów idę za moim przewodnikiem, ale tym razem nie czuję się tak bardzo zmęczony, ponieważ schodzimy w dół. Idziemy po ścieżce, więc nie muszę przynajmniej przedzierać się przez gęste zarośla jeżyn, które wznoszą się po obu jej stronach. Wyciągam rękę i zrywam kilka dojrzałych owoców. Smakują jak samo lato. Przez chwilę znów czuję się małym, psotnym chłopcem.

Zrównuję się z Indianinem i pytam:

– Czy to jest jedyna droga na wzgórze? Bo wie pan, chciałbym wjechać tam samochodem. Mam sporo rzeczy.

Patrzy na mnie przez chwilę, a potem pyta:

– Czy mogę mówić panu po imieniu?

– Naturalnie – wzruszam ramionami. Naprawdę mi to nie przeszkadza, chociaż do tej pory niechętnie przechodziłem z obcymi na *ty*. Ale w Nerelii jest

inaczej. Jakbym już nie musiał bez przerwy się pilnować, by nie okazano mi lekceważenia.

– Jest inna droga, Arkadius. Okrąża wzgórze od południa, wije się jak wąż po jego stromiźnie i prowadzi pod sam dom. Przecież ją widziałeś, kiedy pokazywałem ci posiadłość.

Faktycznie, zauważyłem piaszczystą dróżkę, kończącą się pod zamkniętymi drzwiami garażu. Tylko miejskie ulice były wyasfaltowane, reszta kraju żyła w doskonałej symbiozie z naturą. Przez chwilę zastanawiam się nad kupnem samochodu terenowego bądź zamieszkaniem w mieście. To ostatnie odrzucam natychmiast. Pragnę ciszy i odosobnienia, chcę teraz być sam dla siebie sterem, żeglarzem i okrętem.

– Wiesz, dlaczego poprowadziłem cię ścieżką po bardziej stromej stronie wzgórza, zamiast pozwolić ci wjechać tam samochodem?

Znów czyta mi w myślach. Bo właśnie nad tym głowię się od kilku minut. Skoro umiał zadać właściwe pytanie, zna też odpowiedź, jednak z czystej przekory pytam:

– Dlaczego?

– Potrzebujesz więcej ruchu, młodzieńcze. Ruchu i świeżego powietrza. Nie możesz spędzić reszty życia na siedząco.

To samo mówiła czasami moja mama, lecz nigdy nie chciałem jej słuchać. Ojciec uważał, że marnuję tylko czas, przeznaczając go na granie z kolegami w piłkę zamiast na naukę, więc nie chciałem go zawieść. Dopiero od niedawna odkrywam powoli, że zdobywanie wiedzy to nie tylko obcowanie z książką.

Docieramy do mojej wysłużonej skody fabii, rocznik dziewięćdziesiąty dziewięć, najwcześniejszy z możliwych. Kupiłem ją od sąsiada, który nagle wzbogacił się, grając na giełdzie, i sprawił sobie w salonie nowiutką toyotę avensis. Miałem stabilną pracę w szanowanej kancelarii adwokackiej i bez trudu mógłbym wziąć kredyt na nowe auto. Nie zrobiłem tego, ponieważ byłem zbyt przywiązany do mojej staruszki.

Ale to już przeszłość. Teraz jestem bezrobotnym, wydającym właśnie

większość swoich oszczędności. A ponieważ postanowiłem żyć, przynajmniej przez jakiś czas, wyłącznie bieżącą chwilą, porzucam więc nostalgiczne myśli. Skoro nawet pogoda próbuje podnieść mnie na duchu, nie powinienem jej w tym przeszkadzać.

Stary z gracją zajmuje fotel pasażera. Jedziemy do miasteczka. Po drodze milczę, zerkam tylko na niego ukradkiem. Nosi indiański strój, a w warkocz wetknął dwa ptasie pióra. Nie jestem ornitologiem, ale sądzę, że musiały kiedyś należeć do orła lub jastrzębia. Próbuję wyobrazić go sobie w okazałym pióropuszu. Za naszyjnik służy mojemu towarzyszowi zżółknięty ze starości kieł, nanizany na rzemyk. Próbuję zgadywać po wielkości, czy jest wilczy, czy niedźwiedzi. W końcu stawiam na niedźwiedzia, ale nie dałbym sobie uciąć głowy.

Zaczynam się zastanawiać nad czymś ciekawym. Otóż w każdej kulturze jej członkowie, a szczególnie mężczyźni, lubią otaczać się przedmiotami kojarzącymi się z drapieżnymi zwierzętami, jakby dzięki samemu posiadaniu danej rzeczy przejmowali część siły, zręczności bądź wdzięku zwierzęcia. To dlatego jeździmy jaguarami, zabijamy krokodyla dla ich skóry i ozdabiamy nasze salony myśliwskimi trofeami. Gwałtowny rozwój cywilizacji nie zabił w ludziach pierwotnego respektu dla świata przyrody. Ta myśl sprawia, że rozumiem Nerelię lepiej niż kilka chwil temu.

W mieście mieszkają zarówno Indianie, jak i biali. Stary prowadzi mnie po skrzypiących schodach na najwyższe piętro jakiejś starej kamienicy. Wolałbym nie przychodzić tutaj po zmroku. Za to sam gabinet notariusza jest urządzone bardzo gustownie. Ściskam przyjaźnie dłoń białego mężczyzny po czterdziestce, potem przyglądam się dyskretnie jego dobrze skrojonemu, prążkowanemu garniturowi. Zaczynam żałować, że już dawno zdjąłem krawat i zostawiłem marynarkę w samochodzie. Po wspinaczce w pełnym słońcu musi ode mnie cuchnąć potem na kilometr.

Z początku czuję się jak smarkacz przed obliczem dystyngowanego profesora. Na szczęście ta chwila trwa krótko. Przecież trafiłem z powrotem na znajome prawnicze podwórko. Jeśli moje wykształcenie miałoby okazać się bez

znaczenia, to niepotrzebnie zmarnowałem połowę życia, by je zdobyć.

– Napije się pan herbaty czy kawy?

– Kawy, poproszę. Jeśli można, to z mlekiem.

Mężczyzna sam parzy kawę dla nas obu, stawia filiżanki na stoliku. Indianin tylko się w milczeniu uśmiecha i rozsiada wygodnie na kanapie, jakby był u siebie. Nie mam zresztą wątpliwości, że ci dwaj doskonale się znają. Mogę się założyć, że prawnik przyjmuje mnie z tak dużym szacunkiem i nie wypytuje już od drzwi o powód mojego najścia jedynie ze względu na Indianina. Siadam więc obok starego i słodzę kawę. Zawsze sypię jedną czubatą łyżeczkę. Notariusz nie słodzi wcale. Po paru łykach zaczyna rozmowę:

– Przyjemną miał pan podróż?

– Owszem, nie narzekam – odpowiadam. – Nawet nie zauważyłem, kiedy minęła. Przypuszczam, że nikt nie zauważa.

– Podoba się panu Nerelia?

Jeszcze nie wiem, jak mam odpowiedzieć na to pytanie. Na razie cieszę się, że nie muszę już oglądać miejsc, w których wszystko przypominało mi o Luizie. Lecz wiem, że to uczucie lekkości wkrótce minie. Mogę uciec od miejsc i ludzi, ale nie ucieknę od własnych myśli. Odpowiadam więc ostrożnie:

– Macie bardzo dobrą pogodę i przepiękne widoki. Dla samych gór mógłbym zapomnieć o kraju, w którym się urodziłem.

Notariusz wybucha krótkim śmiechem, w którym wyczuwam sympatię.

– Kim pan był z zawodu? – pyta.

Nie rozumiem, czemu użył czasu przeszłego. Przecież nie umarłem. Wciąż jestem prawnikiem, tyle że zafundowałem sobie długie wakacje. Ten mężczyzna powinien chyba lepiej dobierać słowa. Jeśli znudzę się bezczynnością, mogę odebrać mu połowę klientów.

Odpowiadam jednak grzecznie na pytanie. Przez jakiś czas obaj podtrzymujemy rozmowę, obracając się głównie wokół moich studiów. W końcu przychodzi pora, by przejść do rzeczy.

– Więc co pana do mnie sprowadza? – pyta.

– Chciałbym kupić dom, razem z działką. Ten na wzgórzu.

Notariusz spogląda pytająco na Indianina, który zaczyna szczegółowo wyjaśniać, o którą posiadłość chodzi. Jestem tu nowy, więc nazwiska poprzednich właścicieli i nazwy miejsc niewiele dla mnie znaczą. Na chwilę się wyłącza.

Wreszcie prawnik zwraca się znów do mnie:

– Czy mam rozumieć, że już się pan zdecydował? A może wolałby pan jeszcze przemyśleć tę transakcję i przyjść do mnie, powiedzmy, jutro?

Znów czuję lekką irytację. Dlaczego wszyscy tutejsi ludzie mają mnie za niezdecydowanego smarkacza?

– Proszę podać cenę nieruchomości – mówię trochę zbyt ostro.

Tym razem obaj delikatnie się uśmiechają, jakby byli w zмовie. Lecz nie zrezygnuję za nic w świecie. Notariusz wymienia sumę, na szczęście leżącą w zasięgu moich finansowych możliwości. Nie mam nawet ochoty się targować, chcę tylko przespać najbliższą noc w tamtym domu.

– Muszę zapłacić gotówką czy przyjmie pan czek?

– Proszę wypisać czek. Nie mógłbym nie ufać przyjacielowi mojego przyjaciela.

Na tym etapie znajomości nie uważam jeszcze starego Dahla za przyjaciela, lecz powstrzymuję się od wszelkich komentarzy. Elegancki prawnik wyjmując z szuflady książeczkę czekową, odrywa pojedynczy blankiet i wręcza mi wraz z długopisem. Żałuję, że nie mogę posłużyć się moim wiecznym piórem, ale zostawiłem je razem z etui w samochodzie. Szybko wypełniam wszystkie wymagane pola, nie wahając się przed ujawnieniem numeru mojego konta bankowego. Na koniec zamasyżycie się podpisuję i oddaję druk notariuszowi. Ten kiwa lekko, z aprobatą, głową.

– To wystarczy – mówi. – A teraz spiszmy umowę.

Sporządza dokument w trzech kopiach na staroświeckiej maszynie do pisania. Przez moment zastanawiam się, czemu nie zatrudnia sekretarki. Wszyscy trzej składamy podpisy, stary jako przedstawiciel wspólnoty plemien-

nej, mającej prawo własności do większości gruntów w okolicy. Notariusz przybija okrągłą pieczęć na każdym arkuszu, co kończy formalności. Każdy z nas zatrzymuje po jednej kopii, prawnik od razu wkłada swoją do właściwej teczki.

– Dom na wzgórzu należy od tej chwili do pana – mówi, ściskając mi ponownie dłoń. – Ale kiedy będzie się pan wyprowadzał, nie może pan odsprzedać go nikomu poza ludem Dahla. Takie mamy zasady. Proszę się jednak nie obawiać, zostanie panu zaproponowana uczciwa cena.

– W takim razie uszanuję wasz zwyczaj – odpowiadam, jednak jego słowa nie podobają mi się. Gdybym nie wierzył, że jest mi życzliwy, mógłbym pomyśleć, iż wolałby, abym jak najprędzej się wyniósł. Ale przecież musi wiedzieć, że nie mam dokąd pójść. Wprawdzie droga powrotu nie jest jeszcze dla mnie zamknięta, ale znalazłbym tam tylko zgliszcza minionego szczęścia. Dla takich ja Nerelia jest ostatnim azylem.

Na dole proponuję Indianinowi, że podrzucę go najpierw do domu. Na pewno ma jakiś dom. Obraziłbym go, każąc mu mieszkać w wigwamie. Na Boga, przecież nie żyjemy już w dawnych czasach.

– Mam w mieście przyjaciółkę, którą chciałbym odwiedzić – odpowiada. – Dlatego nie kłopotcz się mną.

Zastanawiam się, czy nie szuka wykrętu. Może ma po prostu dość mojego towarzystwa. Lecz nie nalegam.

– Dziękuję panu za wszystko – uśmiecham się. – Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

Bierze moją dłoń w obie swoje, duże i ciepłe, i mocno ściska. Jego głos też jest pełen ciepła, kiedy mówi:

– Witaj jeszcze raz w Nerelii, Arkadius. Teraz naprawdę należysz do tego miejsca, a wkrótce również ono zacznie należeć do ciebie. Niedługo do ciebie zajrzę i sprawdzę, jak sobie radzisz. A na razie bywaj, chłopcze.

Przypomina sobie nagle o czymś ważnym i w zakłopotaniu chwyta mnie przepraszającym gestem za ramię. No tak, do tej pory nie przekazał mi kluczy od domu, więc robi to teraz. Kiedy się oddala, patrzę przez chwilę na jego szerokie

ramiona i siwe włosy. Ogarnia mnie coś na kształt żalu, jakbym stracił ostatnią więź z przeszłością. Lecz teraz też nie chcę pozwolić sobie na smutek. Jadę najpierw na stację benzynową i tankuję do pełna, a potem wracam bez zwłoki na wzgórze. Silnik rzezi ciężko, a koła grzęzną w suchej jak popiół piaszczystej glebie, kiedy zaczynam podjeżdżać tamtą szerszą drogą pod górę, więc wrzucam niższy bieg. Przez chwilę żałuję, że jednak nie kupiłem lepszego samochodu.

Ściany drzew po obu stronach podjazdu nagle się urywają i wtaczam się na zalaną popołudniowym słońcem znajomą polanę. Otwieram garaż i wprowadzam do niego skodę. W środku jest mało miejsca, więc manewruję bardzo ostrożnie. Na lewej ścianie dostrzegam komplet narzędzi w bardzo dobrym stanie, bez śladu rdzy, a trochę niżej, na pokrytej grubą warstwą kurzu metalowej półce, stoi skrzynka z różnymi rodzajami śrub i nakrętek. Będę musiał dokupić kilka rzeczy i znajdę się w rajach majsterkowicza. Jest nawet równo obmurowany kanał, więc będę mógł samodzielnie wykonywać drobne naprawy podwozia. Czuję, jak gwałtownie wraca mi optymizm. Będę miał teraz mnóstwo czasu na dłubanie w aucie. Postanawiam odpicować moją staruszkę tak, że rodzony projektant jej nie pozna.

Wyjmuję z bagażnika wypchane po brzegi torby podróżne i wnoszę je do domu. Przechodząc przez podwórze zauważam, że cienie wydłużyły się i zrobiło się nieco chłodniej. Spoglądam na słońce, częściowo skryte za jednym z pobliskich wzgórz. Zastanawiam się, jak szybko zapadnie wieczór. Na szczęście dom jest zelektryfikowany, inaczej czułbym się nieswojo, zostając w tym miejscu sam po zmroku.

Stawiam bagaże na podłodze i na razie o nich zapominam. Wracam do samochodu po akt własności, by jeszcze raz drobiazgowo go przestudiować, lecz nie znajduję niczego, co mogłoby wzbudzić moją nieufność. Dokument sporządzono z zachowaniem wszelkich kanonów sztuki prawniczej, bez cienia intencji wprowadzenia którejkolwiek ze stron w błąd. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie pamiętam nazwiska notariusza. Chyba w ogóle się sobie nie przedstawiliśmy.

Rzucam więc okiem na jego podpis. Nazywa się Daniel Brady. Ale to mało istotne. Bardziej obchodzi mnie Indianin. Niestety, nie jestem w stanie odcyfrować jego niedbałego pisma. Zgaduję tylko, że nosi krótkie imię, zaczynające się prawdopodobnie na literę K.

Niosę rzeczy na górę i przez następną godzinę układam je na półkach. Znów robi mi się smutno, tym razem na myśl o dwóch pozostałych, pustych sypialniach. To jest dom dla dużej rodziny, a ja nie mam nikogo. Przez chwilę bardzo dotkliwie odczuwam swoją samotność. Nie mogę znieść dzwoniącej w uszach ciszy, tęsknię więc z całej siły za obecnością jakiegokolwiek ludzkiej istoty, do której mógłbym otworzyć usta.

Biorę się w końcu w garść i idę do kuchni. W szafce pod zlewem znajduję plastikową miednicę, którą napełniam ciepłą wodą i leję do niej resztkę płynu do naczyń. Myślę, że to powinno wystarczyć. Wyszukuję jakieś podarte ścierki, podwijam rękawy i w końcu zaczynam sprzątać. W międzyczasie uruchamiam staroświeckie radio, trafiając na stację z muzyką country. Nie zmieniam fali, licząc na to, że proste, chwytliwe melodie poprawią mi znacząco nastrój.

Tak też się dzieje. Wycieram z werwą zalegający wszędzie kurz, zdrapuję ze stołu zaschnięty brud i usuwam pajęczyny, zabijając przy okazji kilka stworzeń. Podśpiewuję sobie przy tym, nie przejmując się faktem, że strasznie fałszuję. Następnie przechodzę do salonu, gdzie zaczynam porządki od przetarcia dębowego parkietu, a dopiero potem zabieram się za meble. W trakcie pracy wymieniam kilkakrotnie wodę. Nie obchodzi mnie, że to podobno babska robota. Jestem teraz na swoim, nikt tego za mnie nie zrobi. Po drugie, przecież nikt mnie nie widzi.

Kiedy kończę, jestem tak zmęczony, że postanawiam dać sobie na dzisiaj spokój z pozostałymi pomieszczeniami. Tym bardziej, że na zewnątrz jest już całkiem ciemno. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie przebrałem się do pracy. Moja biała koszula i spodnie od garnituru są brudne i pomięte. W kancelarii, w której byłem zatrudniony, za strój inny niż klasyczny garnitur, idealnie odprasowana koszula i krawat, zwyczajnie wylatywało się za drzwi. Nawet do

pubu chodziłem wieczorami z przyzwyczajenia w pełnym „rynsztunku”. Ale przecież teraz nikt mi już nie dyktuje, w co powinienem się ubierać. Postanawiam, że od jutra będę nosił wyłącznie podkoszulek i szorty, i natychmiast na mojej twarzy pojawia się szeroki, łobuzerski uśmiech.

Idę do pomieszczenia gospodarczego, gdzie zdejmuję ubranie i wkładam je do pralki. Przyglądam się swojemu ciału. Moja skóra jest biała jak u młynarza, ponieważ od kilku lat unikałem słońca, uwielbiałem za to spacerować po centrach handlowych i otwarte do późnych godzin nocnych kluby. W mojej głowie kiełkuje powoli nieśmiała myśl, że chciałbym być bardziej opalony. Postanawiam więc twarzą, że od jutra zacznę po trochu wychodzić na słońce. Jedno, czego na pewno mi w tym względzie nie brakuje, to czas.

Burczy mi w brzuchu, raz, a potem drugi. Przypominam sobie, że nie kupiłem niczego do jedzenia. Przeszukuję z nadzieją kuchnię, ale gdyby nawet poprzedni właściciele coś zostawili, po paru tygodniach nie mógłbym wziąć tego do ust. Mieszkając u rodziców, miałem zagwarantowaną pełną obsługę, włączając w to smaczną domową kuchnię. Zawsze był ktoś, kto troszczył się o tak „trywialne” sprawy jak gotowanie, pranie i sprzątanie, zdejmując ze mnie dużą część odpowiedzialności za własne przetrwanie. Do tej pory byłem dzieckiem i nie zmieniały tego nawet oszałamiające sukcesy zawodowe, a teraz zaczynam życie na własny rachunek i koniecznie muszę zadbać między innymi o to, by lodówka nie świeciła pustkami.

Jest już za późno na powrót do miasta i zrobienie zakupów. Nawet gdybym nie zabłądził po ciemku na tym odludziu, pewnie wszystkie sklepy byłyby już dawno pozamykane. Muszę więc jakoś wytrzymać do jutra. Przez chwilę myślę z ogromną wdzięcznością o mamie i jej codziennej, mrówczej pracy, której nigdy wystarczająco nie doceniałem. Gaszę światła na dole i wracam do sypialni. Uświadamiam sobie nagle, że nie przywiozłem kompletu pościeli, będzie mi więc musiało wystarczyć nie posłane łóżko i szorstki koc w kratę. Przeklinam w duchu swój brak zorganizowania, a potem, zrezygnowany i zniechęcony do wszystkiego, zwalam się w samych bokserkach na tapczan, okręcam ciasno kocem

i natychmiast zasypiam ze zmęczenia i nadmiaru przeżyć.

* * *

Budzę się w głębokich ciemnościach, zaniepokojony jakimś koszmarem, którego nie potrafię odtworzyć. Nocna mara pryska bezpowrotnie, za to już za chwilę walczę z przyływem bolesnych wspomnień.

Nigdy nie sądziłem, że się tu znajdę. Przez większość życia nie brakowało mi właściwie niczego. Pochodziłem z niezamożnej rodziny, lecz dzięki mojemu uporowi, ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia wspinałem się powoli na szczyty. Odkąd pamiętam, ojciec pracował jako hydraulik, zaś mama najpierw wychowywała mnie i siostrę, a potem wróciła do biblioteki. Nie zbijała tam kokosów, ale przynajmniej wciąż miała wystarczająco dużo czasu na zajmowanie się domem. Pamiętam, że często dochodziło między nimi do sprzeczek na tym tle. Ojciec uważał, że kobieta powinna być przez cały czas w domu, zaś mama chciała się rozwijać i spotykać z ludźmi. Ostatecznie wypracowali kompromis, lecz ojciec nigdy nie traktował jej zajęcia poważnie.

Beata, moja starsza siostra, nie była w stanie znieść tej napiętej atmosfery i prędko wyprowadziła się z domu. Marzyła o studiach, lecz ojciec nie chciał dać jej pieniędzy. Krzyczał, że nauka nie jest jej potrzebna, że zamiast tego powinna poszukać sobie męża. W końcu zapisała się na jakieś dwuletnie studia pomaturalne, które opłacała z własnej ciężkiej pracy w podrzędnym barze. Chyba nigdy ich nie skończyła, bo po roku rzeczywiście poznała jakiegoś faceta i natychmiast za niego wyszła. Przypuszczam, że go nie kochała, chciała tylko uciec od ojca. O ile wiem, trafiła z deszczu pod rynnę.

Moja sytuacja była znacznie lepsza. Ojcu zależało na tym, żebym się uczył i dobrze ustawił w życiu, jak zwykł często powtarzać. Żałował, że sam nie mógł studiować, i nadrabiał ten brak, zapewniając upragnione wykształcenie synowi. Nigdy się zbyt nie zastanawiałem, co chciałbym tak naprawdę robić. Biernie poddawałem się woli ojca, ponieważ tak było najwygodniej. Wybrałem zawód

prawnika ze względu na wiążące się z tym zajęciem wysokie dochody, a ponieważ byłem bardzo dobrym uczniem, nie miałem żadnego problemu z dostaniem się na pierwszy rok.

Pomimo domowej presji mogłoby mi nie starczyć zapału, by skończyć te studia, gdyby w moim życiu nie pojawiła się miłość. Byłem wtedy na trzecim roku, a ona kończyła liceum. Luiza nie była moją pierwszą dziewczyną, lecz była jedyną, którą kochałem z całej siły. Wszystko robiłem od tej pory z myślą o naszej wspólnej przyszłości, żyłem mrzonkami o rodzinie, którą z nią stworzę. Dla Luizy niszczyłem sobie zdrowie, ślęcząc po nocach nad książkami prawniczymi. Dla niej brałem od rodziców odłożone na czarną godzinę pieniądze, żeby zrobić aplikację. Dla niej harowałem potem całymi dniami, oszczędzając na mieszkanie. Wreszcie, pozostałem jej wierny, chociaż poznawałem wiele interesujących kobiet.

Tracąc nagle Luizę po sześciu latach burzliwego związku, czułem się tak, jakbym stracił wszystko. Nie umiem powiedzieć z całą pewnością, jak to się stało. Pamiętam, że chciałem jej się nareszcie oświadczyć, lecz brakowało mi odwagi, ponieważ bardzo się od siebie ostatnio oddaliliśmy. Pewnego wieczoru, gdy byłem u niej w domu, powiedziała, że mnie nie kocha i chciałaby ułożyć sobie życie w inny sposób, dlatego proponuje, byśmy się rozstali. Najpierw nie mogłem uwierzyć własnym uszom, a potem dotarło do mnie, że nie żartuje. Zadałem więc najbanalniejsze pytanie, jakie mogło mi w tamtym momencie przyjść do głowy.

– Dlaczego? Dlaczego nie powiedziałaś mi tego na samym początku, kiedy się w tobie zakochałem? Dlaczego wtedy nie odeszłaś? Po jaką cholere byłaś ze mną tak długo i dlaczego robisz mi teraz takie świństwo?

Nie podniosła oczu, wpatrywała się tylko w swoje dłonie, którymi skubała brzeg narzutki.

– Przepraszam cię, Arku – odezwała się wreszcie. – Wiem, że bardzo cię krzywdzę. Ale nie mogę przeżyć reszty życia z mężczyzną, którego nie kocham. Proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć.

Rozumiałem ją, do pewnego stopnia nawet uznawałem jej racje. Pomimo to byłem na nią bardzo, wprost niewymownie wściekły. Uważałem, że mnie oszukiwała, udając przez te wszystkie lata miłość. Miałem chęć żądać, żeby się dla mnie poświęciła i wyszła za mnie, nie zważając na swoje uczucia. Nie interesowało mnie jej szczęście, a tylko moje własne. Jak wszyscy zakochani, na razie nie umiałem przestać być egoistą.

Bo taka jest prawda. Wszyscy zakochani to egoiści. Kochamy drugą osobę nie tyle dla niej samej, ile ze względu na radość, jaką dzięki niej odczuwamy. A kiedy związek się rozpada, próbujemy utrzymać go za wszelką cenę, by tej radości nie utracić. Teraz już to wiem, lecz wiedza ta w żaden sposób nie zmniejsza mojego bólu.

Pozwoliłem Luizie odejść. Oddałem jej wszystkie rzeczy, które od niej dostałem, i odebrałem swoje podarunki. Nigdy więcej się nie spotkaliśmy, nie dzwoniłem do niej, nie pisałem maili. Ale nie umiałem pogodzić się ze stratą. Ta miłość wciąż tkwiła w moim sercu bolesnym cierniem, powodując, że stałem się zgorzkniały i nieznośny. Jak automat wykonywałem swoje obowiązki i spotykałem się po pracy z kolegami. Udawałem, że bawią mnie firmowe plotki i sprośne żarty, lecz wciąż rozmyślałem o Luizie. Nawet noc nie przynosiła ulgi, ponieważ bez przerwy o niej śniłem.

Mogłem natychmiast próbować z inną dziewczyną. Mogłem przeprowadzić się do innego miasta, może nawet za granicę. Podobno przestrzeń działa jak czas, dając potrzebny dystans. Lecz ja, po długich wewnętrznych bojach, trochę w złości, by przynajmniej w ten sposób odegrać się na najważniejszej w moim życiu kobiecie, wybrałem przejście do Nerelii. Wiedziałem doskonale, że taka decyzja nie rozwiązuje problemu, nie przywraca nikomu utraconego szczęścia. Zdawałem sobie sprawę, jak bardzo krzywdzę swoim odejściem bliskich mi ludzi. Ale wiedziałem także, że wszyscy, którzy wybierali Nerelię, odnajdywali w końcu upragniony spokój. Poczułem go natychmiast, lecz był to na razie spokój zwodniczy, taka chwilowa ulga dziecka, które uciekło od ukochanego, lecz okrutnego rodzica.

Nadal przewracam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć. Może ten nowy świat sprawi, że rana w końcu naprawdę się zagoi. Może Nerelia podpowie mi, jak mam pogodzić się z samym sobą.

c.d.n.

,